

Harcerze na Jamboree

Polacy zmilitaryzowani do krańcowości

Vogelenzang, w sierpniu 1937 r. Dżemborii — dzi. ej. em. bi. o. er. ii — słysząc bezustannie już na dalekiej odległości przed obozem. Skandują niderlandzką piosenkę po angielsku z jaką lekkością francuską, i beztrudną wesołością amerykańską — każdy: zarówno napotykanymi skautami, jak i cywilnymi Holenderami, kierującymi swym autem z wielkim trudem wśród przegranych innych aut i autobusów oraz rowerów (Holender rodzi się podobno z rowerem, więc jeśli jeszcze nie stać go na auto, nim się posługuje), dążący w tę stronę nieskazitelnie równą szosą tak zwaną „boczną” drogą z Harlemu do Hagi.

TYSIĄCE SAMOCHODÓW

Przy pierwszej bramie przybytu musi pozostać na ławie swe auto wśród tysięcy innych. Obszar Holandii równy jest obszarowi naszego Polesia i tyleż ma mniej więcej wody, tylko, że w uregulowanych, najczęściej prostych kanałach. Kilka tysięcy aut zgromadzonych tutaj wcale jednak nie powoduje wstrząsania ruchu w

Niepotrzebna książka

Fundusz Kultury Narodowej znalazł dobrą lokatę dla swych skromnych funduszy: wydał panegiryk na „cześć Miriama”.

Cała książka superlatywów, zachłystów i zachwytów nad maścią, subtelnością, mistrzostwem Miriama. Stary Kaka-demik nie umie po duńsku ani czesku, autorka panegiryku — pani Szurek Wisti — również, tym niemniej stwierdza ona kategorycznie, że tłumaczenie Miriama oddaje genialność i wierność co do słowa oryginału. Skąd ta pewność?

Następnym wydawnictwem Funduszu będzie zapewne dzieło: Miriam — genialny mówca i sprężysty wydawca Norwida. (kol.).

WIELOKROTNE STWIERDZONO DZIAŁANIE skuteczne SOLI MORSZYŃSKIEJ lub WODY GORZKIEJ MORSZYŃSKIEJ w schorzeniach organów trawiennych, wątroby i przy złej przemianie materii. Żądać w aptekach i składach aptecznych.

Toaleta pancernika



Wesoło odbywa się toaleta groźnego olbrzyma - pancernika angielskiego „Iron Duke” w porcie Portsmouth w czasie święta floty.

innych miejscowościach, podczas gdy naszych 320 (wyraźnie: trzysta dwadzieścia) samochodów polskich wyczerpuje całą ich liczbę w tym województwie.

Tysiące rowerów i motocykli na następny kwadrans ląki zostawiają ich właściciele z małą kłódką, jako unieruchomione, ale nie boją się ich zaginięcia. Dalsza droga, jeszcze za dwa kilometry trzeba odbywać pieszo, dalej dojeżdżają bowiem tylko dostawcy prowiantów lub wysoko utytułowane osoby ze specjalnymi zaproszeniami.

NAPŁYW GOŚCI

Już na szosie ogarnia nas wielobarwny tłum skautów, kręcących się ustawicznie na wszystkie strony zwiędzających okolicę obozu, powracających z morskich kąpiel i zakupów w Harlemie. Przed kasą drugiej z kolei bramy kolejka kilkuset osób pragnących nabyć bilety wstępu — dziś droższe wobec odwiedzin obozu przez królową Wilhelminę — ponad 100.000 publiczności w ciągu dnia! Podążają tutaj ze wszelkimi środkami lokomocji, bo i pieszo i koleją i tramwajem nawet motorowymi łodziami przez kanały, ze wszystkich stron Holandii i krajów przyległych, a nawet liczne grupy turystów Polaków ze statku „Piśudski” wpadły tu kiedyś na chwilę.

WESOŁE MIASTO

Zwiedzamy przede wszystkim dzielnicę handlową wielojęzycznego miasta. Można tu dostać niemal wszystko, co młodym ludziom może być po-

trzebne z ekwipunku skautowego. Finnowie sprzedają swe noże, Szwajcarzy czapeczki, Holendrzy cebulki kwiatowe, a inni różne pamiątki, przede wszystkim fotografie, no i lody, lody...

Mimo natoku jakiś Polak czy Anglik chwytając kilku przechodniów Egipcjan, Francuzów, Jawajczyków — biorąc się za ręce z holenderskimi skautami i utworzywszy koło śpiewają z pamiętali to, na co ich razem stać Dżemborii, Dżemborii, Dżemborii...

Utrapienie tylko, gdy wpadnie między nich gromada wilków (zuchów) holenderskich, upominając się o autograf, czasem nawet z dodatkami nazwy kraju i adresu. Zadowolone zupełnie, gdy Polak postawi znak, czy kilka liter z dodatkami tajemniczego słowa — „Polska”, oddadł mającego stanowić rozdział wiedzy o świecie i ludziach.

PIENIADZE PŁYNĄ

Obroćki wesołego miasteczka niezgorszy, ponoć ponad milion guldenów dziennie. Trzeba przyznać, że polscy chłopcy topią tu pieniądze dość sensownie, dopytując się najpierw o ceny i porównując je z krajowymi, a że tutejsze ceny są dwukrotnie wyższe od cen w Harlemie, nie szastają zbytnio pieniędzmi na głupstwa. Zresztą zgóry widzą, że w zakupach nie sprostać Amerykanom, czy Australijczykom, którym kilkadziesiąt guldenów — „mięta”.

Każdemu jednak opłacił się przyjazd tutaj. Co za bajeczne pole do

Rząd Stanów Zjednoczonych Wydzierżawia okręty wojenne

NEW YORK, 11.8. Prasa amerykańska podała pod dużymi nagłówkami wiadomość, że rząd Stanów Zjednoczonych postanowił wydzierżawić 6 kontrtorpedowców wchodzących w skład floty Stanów — rządowi brazylijskiemu.

Sumę dzierżawną określono w wysokości stawek asekuracyjnych, które będą pokrywane przez rząd brazylijski.

Decyzja rządu amerykańskiego, jedyna w historii, komentowana jest w urzędowych kołach waszyngtońskich jako chęć okazania pomocy siostrzanej republice amerykańskiej przez wzmocnienie jej siły obronnej.

W kołach tych twierdzi się również, że rząd amerykański nosi się z myślą okazania podobnej pomocy także innym państwom Ameryki łacińskiej.

porównań ludzi i nabrała wiedzy o świecie.

CHARAKTERYSTYKA.

Można pisać długie traktaty lub łokcować wesołe felietony, ale nie sposób dać krótkiej charakterystyki tego Jamboree, lepiej oddać głos belgijskiemu dziennikarzowi, który tak oto w brusselskim piśmie „Le vingtième siècle” scharakteryzował różnych skautów: „Skauti polscy zmilitaryzowani do krańcowości z trąbami, bębniarami, fantarami, ich oboz surowy jak koszar, gdzie okrzyki komend rozlegają się jak trzask bicia. Skauti francuscy, roztrzępani i weseli, śpiewają kucharką w garnkach — marnie myśli. Skauti angielscy, elegancyści i legmatyczni, spędzają czas wylegając się na postaniach, i opalają się na słońcu. Skauti amerykańscy z ustami pełnymi gumy, którzy już bezustannie. Skauti nasi (Belgowie) nieco nieśmiały, nieco też się czujący w obcym kraju, ale mający dobrą postawę”.

Tak zwana „mocna prawda”. To, co w tej charakterystyce do nas się odnosi, nie powinno nas jednak martwić. Niestety skąpi są ludzie w ogłaszaniu obszerniejszych poglądów na nas i cenzurowaniu systematycznie wszelkich szczegółów, a nie wypada dopytywać się, co o nas sądzą.

W. P. R.

Z teatru o teatrze

Kulawy orzeł

TEATR KAMERALNY — „SKANDAL W RODZINIE KINGA” — KROTOCHWILA W 4-CH AKTACH H. ADLERA.

Kiedy Adler występuje w towarzystwie swego współwyznawcy Perutza, jest względnie znośny. Wypuszczony samopas, Adler nie tylko nie jest... orłem, ale staje się trudny do zniesienia. „Skandal w rodzinie Kinga” komedia, którą popchnął sam, stoi na poziomie niedzielnego felietonu o „rozkoszach domowego ogniska” w podręcznym piśmie. Wystawiona w czasie wakacji jest postępiem niehumanitarnym wobec licznych mężów, którzy na krótki przeciąg czasu mogą być sami. Pociąg przypominać, jak rozkoszne mają żony?

Mimo wszystko nie można jednak odmówić Adlerowi pomysłowości, a nawet dowcipu czasem tylko kulejącego, i być może, że jego farsa wyszłaby nawet dość zgrabnie przy odpowiedniej obsadzie i reżyserii. Tylko, że dla tego rodzaju „sztuk” szkoła i aktorów i reżysera.

Inaczej jednak myślą niektórzy członkowie wakacyjnego zespołu

teatru Kameralnego”. to też zgrywają się (ci „niektórzy”) aż miło. Produkcja pod tym względem pan Kwiatkowski, który najzupełniej niepotrzebnie męczy się swą rolą do siódmego potu i wywraca koźły po scenie. P. Brenoczy, która przejawia iście węgierski temperament, w przeciwieństwie do swego scenicznego małżonka, wykazuje jednak dużo umiaru i pewnej kultury. Najwięcej umiaru jednak i naturalnej swobody okazuje p. Różańska, która ponadto inteligentnie odzwiera postać służącej „do wszystkiego” przeobrażonej w damę. P. Różańska jest najlepszą siłą w tym zespole. Dobre wrażenie robi również p. Małatyński, jako pełen brawury fotograf prasowy. W pozostałych rolach wystąpili pp. Orleńska, Leśniewski i Rzecki.

Dekoracje Jarockiego wypadły, jak zwykle w Kameralnym, zdecydowanie brzydko. Widocznie p. Jarocki projektując dekoracje do podziemi galerii Luxemburga — wypoczywa.

Mamy przekład p. K. Romockiego dopełnia resztę.

St. G.

W kazamatach czerwonej Hiszpanii

Strasliwe przejścia więźniów

Pogranicze francusko-hispańskie w sierpniu.

Pogranicze mieściny francuskie u stóp Pirenejów nie są terenem li tylko wypadów sympatyków czerwonej Hiszpanii, którzy tędy przemycają na teren półwyspu Iberyjskiego sprzęt wojskowy czy ludzi, jak uświadamiają czytelnika polskiego niektóre pisma. Miasteczka te, ciche i niepozorne, wyłoczone południowym słońcem, uczepione zbocz górskich niby fantastyczne gniazda ptasie są Mekką i Medyną tych wszystkich, którzy za wszelką cenę postanowili sobie uciec z „czerwonego raju”.

W Cerbere, ostatniej stacji francuskiej na pograniczu hiszpańsko-francuskim, nie tylko załadunku się do obskurnych wagonów hiszpańskich entuzjastów czerwonej republiki, nie tylko robotnicy pociąg przy ładowaniu na towarowe platformy samochodowe cystern benzynowych Forda, które za parę dni będą dowoziły gazolinę zmotoryzowanym oddziałom czerwonej armii, ale — w tymże Cerbere jest punkt oparcia licznych uciekinierów z czerwonej Hiszpanii.

HOTEL DU MIDI

Można ich spotkać w niepozornym, małym hoteliku na Midi przy Rue de la Poste. Właściciel tego hoteliku jest dzisiaj jednym z najbogatszych ludzi na południu Francji, bo też uciekinierzy muszą się odpowiednio „życzliwie ustosunkować” do człowieka, który udziela im pierwszego schronienia na ziemi wolnej i słonecznej Republiki.

W małym, dusznym hallu siedzą czterech mężczyzn o wybitnie południowych typach. Kim są, jak się nazywają? Nie sposób odpowiedzieć na łamach pisma na te pytania. Niechajże naszemu Czy-

telnikowi wystarczy, że wszystkim to byli ludzie „niebлагонadіożni”, którzy nie mogli pogodzić się z reżimem obecnie w Hiszpanii panującym. Rezultat — wszyscy czterej przesiadali po kilka miesięcy w hiszpańskich więzieniach. Jak to wyglądało? Oto pytanie z którym przede wszystkim do nich przystępuję.

PRYWATNE WIEZIENIA

Okropnie. To określenie powtarza się w relacji każdego z czterech moich rozmówców, aczkolwiek, dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy czterej pochodzą z różnych miast i przesiadywali w różnych więzieniach prywatnych...

„Prywatnych?” To określenie pobudza moją uwagę. Co to znaczy „prywatnych”?

Jeden po drugim opowiadają mi dokładnie, że oprócz normalnych więzień „rządowych” istniały do niedawna (czy istnieją nadal, rozmówcy moi nie mają pojęcia) więzienia poszczególnych partii. A więc więzienia komunistów, anarchistów, trockistów. Ba, nawet socjaliści mieli swoje, „prywatne” więzienia, w których lokowano ludzi nieprzyjrzanych dla danej partii.

Jak odbywało się aresztowanie? Zupełnie prosto. Któregoś nocy (zwykle tego rodzaju „ceremonie” odbywały się nocą) pukano do drzwi mieszkania człowieka, który był „na oku” i w imieniu Republiki zabierano go. Rodzina, najczęściej nie orientująca się w tajnikach republikańskich urzędów i pełnomocnictw, przypuszczała, że aresztowanie następuje istotnie w imieniu... Republiki. Gdy więc następnego dnia rozpoznawali się starania o zwolnienie i poszukiwanie, wychodził na jaw, że władze nie mają zielone-

go pojęcia o... aresztowaniu

A więzienia?

STRASZLIWY BRUD

Straszliwy brud, to pierwsze co potwornie deprymowało życia aresztowanych.

— Wszy oblegały nas całymi masami, szczyry nie pozwalały stać spokojnie na podłodze, nie mówiąc już o tym, że nie sposób było na tej podłodze, zanieczyszczonej w potworny sposób położyć się.

Regularnie każdej nocy odbywały się upiorne zainscenizowane przesłuchania, podczas których nieszczęśliwe ofiary poddawano najwstrętniejszym torturom. Wówczas lokal więzienny wypełniały zwierzęce wycia, od których można było dostać pomieszczenia zmysłów...

Opowiadają mi o tym, wszystkim ludzi, którzy wiem, że nie kłamią, ludzie, którzy na własnej skórze przeżyli całe te upiorne piekło.

METODY G. P. U.

Kiedy słuchałem opowiadania uciekinierów z czerwonej Hiszpanii, przypominały mi się specyficzne dla GPU metody z wyprawowaniem ludzi rzekomo na rozstrzelanie, z repetowaniem rewolwerów za plecami, twarzą do ściany odwróconych więźniów. Wszystko to samo. Pokazywali mi straszliwie skatowane ciała, strupy upiorne, wrzody po ranach, w które wgrzyzł się więzienny brud.

Myślę, że ci ludzie z małego hoteliku w małym Cerberze, już na wolnej, francuskiej ziemi, gdzie właściwie nic im nie groziło — nie potrzebowali kłamać. I dlatego tym potworniejsza była wymowa ich tragicznej spowiedzi, jakże ponuro malującej oblicze demokratycznej Hiszpanii.

HEDDA WESTENBERGER

63)

DR. MED.

KARIN FISZER

POWIEŚĆ

Karin gryzie sobie wargi.

— Tak — dziecko przede wszystkim. Przyslij go do mnie, trzeba by go opukać i obsłuchać... z tobą chciałabym koniecznie omówić...

— Omówić? Słysząc znów Sybillę — Tak? Slicznie! Przysjdż zatem Karin, jak tylko będziesz miała jaki swobodny wieczór.

Cieszę się bardzo, że cię zobaczę. Musisz mi strasznie dużo opowiedzieć o Aleksandrze... Czy możesz przyść pojutrze na herbatkę?... Dobrze... Zatem pojutrze — prawda? A tymczasem nie przepracowuj się! Dobranoc!

Karin powoli odkłada słuchawkę. Stało się... pojutrze... musi się wypowiadać Sybilli. Pojutrze... A potem kółko wejdzie w ruch... Sybilla będzie żądać od niej, by już nigdy nie spotkała się z Aleksandrem. Nad morze nie pojedzie, tylko będzie pilnować męża. Aleksander będzie robił niezliczone próby spotkania się z Karin... A ona... Karin?...

Karin siada w fotelu, głowę opiera na ręce... Karin? Karin nie będzie w stanie oprzeć się temu. Nie jej nie pozostaje innego, jak uciec...

Siedzi zapatrzona przed siebie, zatopiona w swych my-

ślach, nie zdolna do żadnej pracy. Na biurku leżą stopy kwitów z Kasy Chorych, rachunków, notatek. Chciała to dziś jeszcze przejrzeć i uporządkować... chciała przeglądać ostatnie tygodniki lekarskie... ale to tak strasznie nużąca podróż z tego fotelu tutaj — do biurka tam... Tu siedzi kobieta Karin — i myślała jest w małym domku w południowym Tyrolu przy Aleksandrze i przy tych kochanych drobniaczkach minionych dni... a tam na biurku czekała sprawą na panią dr. med. Karin Fiszer, na jej jasny umysł i zimną rozagę. Wzięła do ręki leżącą na stoliku paczkę fotografii, które robiła z Aleksandrem i przegląda je z radością... po raz nie wiem który w tych trzech dniach ostatnich.

Aleksander leży na łóżku... patrz Karin, jak się śmieje, jak się wydaje promieniować szczęściem... A to Aleksander w oknie swego pokoju... a tu w zacisznym kąciaku z którego zawsze podziwiała zachody słońca...

Zegar bije 11-łą — bije 11-łą i pół, a Karin siedzi ze swymi fotografiami...

Naraz podnosi głowę i słucha... Co to? Czyżby Elza wróciła? Coś w jej pokoju upadło na podłogę. Że też nie słyszała, jak Elza wchodziła? Czemu nie przyszła powiedzieć jej dobranoc? Taka jest teraz miła i serdeczna...

Po chwili Karin wstaje. Jakby wiedzona instynktem, nad słuchując skrada się do drzwi Elzy, nie odkrywając kontaktu na przedpokoju. Słyszysz wyraźnie, że ktoś po pokoju Elzy czegoś szuka.

Czyżby to Elza?... Nie... To nie może być Elza. Elza nigdy nie kładzie się, nie zapaliwszy światła i zachowuje się głośnie.

W jednej chwili otwiera drzwi i odkręca światło u sufitu. W pokoju stoi „Franek” Hoffmann.

Opiera się o komodę, w której widocznie czegoś szukał. Z oczu wyciera beczelność i strach, twarz silnie zaczerw-

niona, dolatuje od niego zapach alkoholu. Milczy, otworzył usta, patrzy na Karin, a Karin na niego. Mijają sekundy... Naraz Karin przyskakuje do niego... nikt by ją nie podejrzewał o taką siłę i taką zwinność... chwytą go za kurtkę i rzuca nim od komody na przeciwległą ścianę, tak, że Franz od tego uderzenia aż oczy zamyka przestraszony.

— Co tu pan robi? — wadczym głosem pyta Karin, zdając sobie dopiero teraz sprawę, że może za wiele ryzykuje z tym widocznym pijanym chłopem. Kto przyjdzie jej z pomocą, jeżeli na nią napadnie?

Ale Franz o tym widać nie myśli. Na jego twarzy zjawia się szyderczy, obrzydliwy uśmiech, prawą ręką klepie się triumfując po kieszeni na piersiach.

„Ja... ja... m... mam już... to... co... chcę mieć”.

Usiłuje stać prosto i z całą beczelnością klepie po kieszeni.

— Tak, tak, jest już tam, szanowna pani.

Karin już wie... wzięła zeszyt o którym Elza mówiła... i rozumie teraz jego dziwne wtargnięcie do domu. Elza mu ostentacyjnie odmówiła wydania zeszytu. Dlatego spoił ją, ukradł jej kluczyk od zatrasku, a dla dodania sobie odwagi, sam się grzecznie uraczył alkoholem i wdął się do jej mieszkania. Ale Elza? Co się z nią dzieje? Jakim sposobem odebrał jej kluczyk? Czy czego jej nie zrobił?...

— Gdzie jest Elza? — pyta ostro.

Hoffmann śmieje się i krzyczy:

— Już... na nog... nogach... nie... m...może się utrzymać.

Serce Karin prawie zamarta... Co robić? Policję sprowadzić? Skandal wywołać? U niego zeszyt... a ten zeszyt musi mieć zaraz... musi go odebrać... dla dobra Sybilli... dla dobra Aleksandra...

(D. c. n.).